ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM I SZKOŁA

№ 4. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 24 lutego 1929.

WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA.



Z WYSTAWY SZKOLNEJ.

Model Wzorowej Kuchni Szkoły Gospodarstwa Domowego Subsydjowanej przez Komisję Opiek Szkolnych m. st. Warszawy.

K. STATTLERÓWNA.

WYSTAWA SZKOLNA.

Gmach gimnazjum im. Królowej Jadwigi w Warszawie gościł w swych salach od dn. 31 stycznia do 10 lutego b. r. Wystawę szkolną, okr. szk. warsz. Wystawa ta była jedną z cyklu Wystaw, zorganizowanych we wszystkich okręgach szk. całej Rzeczpsp. Polsk. w ostatnich miesiącach. Z kolei, najcharakterystyczniejsze eksponaty z tych wystaw okręgowych przeznaczone zostaną na Wszechpolską Wystawę w Poznaniu do działu szkolnictwa ogólno kształcącego i zawodowego Min. W. R. i O. P. Dwustopniowość ta nietylko zapewniła dla Wystawy w Poznaniu materjał najbardziej wartościowy, ale i pozwoliła całemu społeczeństwu polskiemu zaznajomić się z ruchem szkolnym, niedość u nas jeszcze bliskim nawet tym warstwom, które są ruchem tym bezpośrednio zainteresowane t. j. samym kołom rodzicielskim.

Znaczenie wystaw wogóle jest niezmiernie ważne pod względem orjentacyjnym i propagandowym, tembardziej zaś w państwie polskiem, które robi dziś przegląd swej dziesięcioletniej, wytężonej pracy, podjętej na zoranej przez niewolę i wojnę ziemi polskiej.

A jeśli w dziedzinach życia gospodarczego państwo polskie musiało dźwigać, leczyć i naprawiać stan powojenny, to w dziale szkolnictwa musiało budować wszystko od podstaw, zastało, bowiem, albo zupełny brak, albo puściznę po rządach zaborczych, pełną błędów i rozmyślnej złej woli.

Na tem tle dopiero zrozumieć można olbrzymi postęp, dokonany przez szkolnictwo ogólno kształcące w Polsce w okresie pierwszego dziesięciolecia niepodległego państwowego bytu.

Szczegółowy materjał cyfrowy znajdzie miejsce w specjalnym artykule, dziś zatrzymamy się na ogólnym przeglądzie wystawy, imponującej różnorodnością, doborem i bogactwem swych zbiorów.

W pierwszym rzędzie podkreślić należy zasadniczą myśl przewodnią, jasno uwydatniającą się w układzie wszystkich działów. Jest to zasada jednolitości szkolnictwa, zasada ciągłości wysiłku i kierunku nauczania i wychowania na wszystkich poziomach, zaczynając od przedszkola, przez pełną 7-kl. szkołę powszechną, szkołę średnią, a kończąc na zakładach kształcenia samego nauczyciela, na seminarjach i Wyższych Kursach Nauczycielskich.

Głęboko celowy ten układ odpowiada najżywotniejszym dążeniom doby obecnej, zmierzającym do uprzystępnienia drogi kształcenia się każdej jednostce w miarę sił i zdolności, do zerwania dotychczasowych progów, zazdrośnie broniących wstępu na wyższy poziom wychowańcom szkoły powszechnej.

Wystawa stwierdziła, że szkoła powsz. jest już dziś ogarnięta tą samą myślą pedagogiczną, tą samą troską ustawodawczą, i że zaradzenie jej brakom, niewątpliwie nieraz jeszcze katastrofalnym, jest już tylko kwestją ogólnego stanu gospodarczego w państwie, oraz energji i uświadomienia czynników samorządowych.

Przejdźmy wystawę według działów, co równa się postępowaniu za ową przewodnią zasadą układu materjału.

Dział pierwszy — to *organizacja szkolnictwa* z punktu widzenia dorobku państwowego przy współudziale społeczeństwa w postaci Komisji Gł. Opiek Szkolnych i Rad Szk. powiatowych. Na szeregu tablic i wykresów czytamy dane rozwoju szkolnictwa ilościowego i jakościowego, t. j. szkół wyżej zorganizowanych, gdy zaczynaliśmy przed 10-ciu laty niemal wyłącznie od jednoklasówek. Stwierdzić należy, że energja jednostek kierujących szkolnictwem i budową szkół w poszczególnych powiatach gra tu obok warunków lokalnych, t. j. gęstości zaludnienia — pierwszorzędną rolę.

Pierwsza próba przeprowadzenia wzorowej sieci szkolnej, umożliwiającej wszystkim dzieciom ukończenie pełnej 7 kl. szkoły powsz. zapoczątkowana już została w powiecie włocławskim, by na tem doświadczeniu oprzeć dalsze działania w tym kierunku.

Rada Szk. m. st. Warszawy zilustrowała swoją działalność w modelach warsztatów, świetlic, zbiorów pomocy szkolnych i akcji pomocy materjalnej niezamożnym dzieciom szkół powszechnych.

Dział zatytułowany *Wychowanie* obejmuje „samorządy uczniowskie“ w statutach i regulaminach, młody i niezmiernie ciekawy zakres pracy szkolnej, pięknie rozwijający się w szkołach powszechnych, średnich i w seminarjach nauczycielskich. Świat dziecka i młodzieży rozumiany jest dziś przez wychowawców jako odrębna całość, podległa swoim wewnętrznym prawom, które kształtować i doskonalić musi sam ich twórca i uczestnik, t. j. dzieci i młodzież szkolna.

W łonie samorządu uczniowskiego, lub w bliskiem z nim porozumieniu powstają liczne instytucje uczniowskie, równoległe do świata dorosłych i czyniące zadość tym samym potrzebom społecznym, więc: wydawnictwa, kroniki szkolne, samopomoc materjalna, sekcje samokształcenia, życia towarzyskiego, pomoc społeczna, niesiona poza mury szkoły, nazewnątrz, między inne, potrzebujące pomocy dzieci w Polsce, a niekiedy i dalej.

Harcerstwo, spółdzielczość, sklepiki szkolne, tak dziś aktualna akcja kas oszczędnościowych, przedstawione zostały w barwnych, wymownych wykresach i modelach. Czynnym był też żywy model w postaci sklepiku uczniowskiego, wystawionego przez jedną ze szkół ćwiczeń, a obsługiwanego kolejno przez uczniów różnych szkół powszechnych i średnich — porządek, rachunkowość i księgowość tej młodej placówki zaimponować mogłyby niejednemu przedsiębiorstwu handlowemu świata dorosłych.

Dalej widzimy „czytelnictwo", a w niem fragmenty i modele czytelń i bibljotek szkolnych, lub organizowanych przy szkołach przez Tow. Bibljotek dla dzieci szkół powsz. Podziwowi dla pracy dokonanej towarzyszy żal, że tak jeszcze niewiele szkół korzysta z umiejętnej pomocy tej pięknej instytucji.

Tembardziej uczucie to budzą „Świetlice" szkolne, w których młodzież spędza miłe godziny pozaszkolne na ulubionych i pożytecznych zajęciach warsztatowych i pracownianych. Jest to jeden z pełnych przyszłości działów pracy szkolnej, zdolnej dać dziecku prócz książki czynności ręczne, których tak potrzebuje w zakresie szerszym niż w godzinach lekcyjnych.

Jest to też najlepszy środek oderwania go od ulicy, na której szuka i niestety znajduje—niezawsze właściwy pokarm dla swej młodej, ciekawej wyobraźni.

Wreszcie w zestawieniach „Wycieczek szkolnych" stwierdzamy imponujący wzrost ruchu wycieczkowego z Warszawy i ze wszystkich ziem polskich ku stolicy, a przedewszystkiem do ukochanego Wawelu, do Tatr i Zakopanego, do Puław i Kazimierza i nad polskie wybrzeże bałtyckie.



Z wystawy szkolnej.

Ruch ten, prócz szkoły, organizuje każda prawie, pracująca z młodzieżą i dla młodzieży instytucja wychowawcza, prowadząc wycieczki różnego typu do ośrodków pracy, czy do świątyni przyrody. Towarzyszyć mu powinna pomocnicza działalność państwowa i społeczna, oraz rozumnie skierowana akcja oszczędnościowa przez tworzenie funduszów wycieczkowych w Opiekach szkolnych i Samorządach uczniowskich.

(c. d. n.)



LICZBA UCZNIÓW W SZKOŁACH

NA TERENIE KURATORJUM OKRĘGU SZKOLNEGO WARSZAWSKIEGO.

Na tym wykresie została przedstawiona liczba uczniów we wszystkich rodzajach szkół (poza szkołami wyższemi) na terenie m. st. Warszawy, województwa Warszawskiego i Białostockiego (617.240 uczniów). Wycinki koła oznaczają liczby uczniów. Największy wycinek wyobraża liczbę uczniów szkół powszechnych (87,1%), kolejno drugi największy z prawej strony—liczbę uczniów seminarjów nauczycielskich, potem szkół technicznych (1,0%) handlowych i żeńskich (1,0%) przedszkoli (2.4%) — — — — oraz szkół specjalnych (0,2%). — — — —

(A. WALENTA).

R. RUDZIŃSKA.

STUDZIENIEC I BICIE DZIECI.

W Studzieńcu, w zakładzie wychowawczo-poprawczym dla młodocianych przestępców, bito i znęcano się nad dziećmi, których zły charakter miał być tu poprawiony. Nie będę tu opisywała ohydnych scen, jakie tam miały miejsce. Zrobiły to w dostatecznej mierze pisma codzienne w swoich sprawozdaniach sądowych. Chciałabym tylko zastanowić się nad zjawiskiem tak przykrem i tak u nas powszechnem, jakiem jest bicie dzieci.

Dzieci bije się od najmłodszych lat — nieomal miesięcy. Widziałam matki, które dawały klapsy dzieciom w kołyskach leżącym. Znam domy bogate i biedne, rodziców głupich i mądrych — wszędzie niemal uważa się, że bicie dzieci jest doskonałym środkiem do kształtowania charakteru dziecka, że bez bicia wychować dziecka nie można. Jeżeli dziecko popełni jakieś drobne przestępstwo, jakąś nieostrożność, popełni to świadomie, lub bez złej woli — ukarane zostanie zawsze uderzeniem. Biją u nas wszyscy: i rodzice, i niańki, i zdenerwowany nauczyciel, i rozgniewany sąsiad. Lecz przedewszystkiem biją rodzice. Więc gdybyśmy tych wszystkich, co czytali o tym procesie i oburzali się srodze, zapytali, czy biją oni swoje własne dzieci — jaka byłaby odpowiedź?

Mówi się, że prawem rodziców jest bicie dzieci. A niech kto spróbuje zwrócić uwagę matce, żeby nie biła dziecka, ta odpowie napewno: to moje dziecko, czego się pani wtrąca?

Tak, u nas się dzieci bije, nie zastanawiając się nad tym, jak to się odbija w duszy dziecka i na jego charakterze.

Przyszłam razu jednego do mojej znajomej i zastałam ją we łzach, prawie chorą z rozpaczy. Nie chciała mi się długi czas zwierzyć: dławił ją wstyd, upokorzenie i ból wielki. Aż wreszcie powiedziała mi: mój syn mnie uderzył. Była w rozpaczy, bo: „co z niego wyrośnie, jeżeli on śmie na matkę rękę podnosić". Od tej pory spotykałam się niejednokrotnie z tem zjawiskiem,i wiem, że się nierzadko zdarza. Bo dziecko pozwala się bić tylko do pewnego wieku. Aż przyjdzie taki moment, że poczuje się ono człowiekiem, a wtedy zbudzi się w nim bunt i obrażona godność ludzka. I tak, jak dorosły człowiek, nie namyślając się wcale — bije na odlew, gdy zostaje uderzony, tak i dziecko broni się przed uderzeniem matki — tą samą bronią. Czy ma wtedy czuć specjalny szacunek dla człowieka bijącego je, dlatego, że to jest jego matka? Ach, nie, ono wtedy traci zupełnie szacunek i uczucie do matki.

A jak rodzice reagują na to?

Wpadają w gniew i oburzenie, sypią się słowa w rodzaju: „a bodajby ci ręka uschła", lub: „święta ręka, która bije", no i nowa serja klapsów, po której dziecko zrozumie, że rodzice są silniejsi, że bić ich nie można, bo jeszcze mocniej zbiją. Lecz jednocześnie zalęże się gdzieś w głębi duszy dziecka i złość, i chęć zemsty, i nienawiść — zalęgną się i rosnąć będą wraz z dzieckiem i ilością otrzymywanych klapsów. Bezsilni wobec rodziców — bić będą swoje młodsze rodzeństwo — bo to niczem im nie grozi, tu oni są silniejsi; znęcać się będą nad zwierzętami, dokuczać kolegom i tymże rodzicom.

Wychowawcy przestępczych dzieci w Studzieńcu bili je i nawet znęcali się nad nimi. Jestem najzupełniej pewna, że kiedyś, w dzieciństwie ludzie ci wychowywani byli przy pomocy paska lub dyscypliny. Dowiedzieliśmy się z przebiegu sprawy, że pan dyrektor zakładu ma też swoje dziecko — ciekawam, jak je wychowuje? Zaś wszyscy ci panowie, którzy wizytowali zakład i nic o biciu nie wiedzieli — ci napewno pochwaliliby tę metodę. No, zapewne, nie zgodziliby się na znęcanie się i katowanie dzieci, ale na klapsy patrzyliby napewno przez palce. Bo tak się to u nas utarło, że bez bicia niema wychowania, tak to wrosło w nasze mózgi, że trudno jest ten wstrętny chwast wyplenić!

Chłopcy, którzy przysłani byli do Studzieńca na „poprawę" charakteru, przynieśli ze sobą niejedno wspomnienie o „świętej ręce" ojca. Chcąc na nich wpłynąć, zaczynali zapewne wychowawcy od dobrych razów. A gdy to nie pomagało — próbowali mocniej i coraz mocniej, aż tak się z tym zżyli i przyzwyczaili, że zatracili zupełnie litość i sumienie.

Bowiem ci ludzie nie wiedzieli o tem, że są inne drogi poprawy nieszczęśliwych tych dzieci. Nie wiedzieli o tem, że są na świecie podobne zakłady, gdzie się dzieci wychowuje — miłością i zrozumieniem znękanej ich duszy.

Złość zrodzić może tylko zło. Dobro — miłości jest dzieckiem.

J. STRZELECKA.

TRZYMAĆ ZŁODZIEJA — POLICJA!

Bronek doszedł już do VI-go oddziału. Trudno uwierzyć, co się z tego chłopca zrobiło. Nie uczy się prawie zupełnie, często wagaruje, nic mu powiedzieć nie można, bo odpowiada matce, a i nieraz pani w szkole tak, że już i skargi na niego idą — „O nic nie dba", mówi wychowawczyni do pani kierowniczki, ciągle czegoś zapomina, książek nie przynosi, niewiadomo jak z nim postępować, nawet odsyłanie do domu skutku nie odnosi".

Dawniej, w niższych oddziałach, kiedy mu kazali iść do domu, to była to dla chłopca ciężka kara, widać było, że go to strasznie obchodzi, teraz... Teraz Bronek z lekceważącym, zły uśmiechem zbiera książki, czasem to i rzuci jakieś wyzywające słowo — którego pani udaje, że nie słyszy — i niedbałym, leniwym krokiem wychodzi z klasy. Raz to nawet we drzwiach gwizdnął, jak umiał najgłośniej, a klasa wybuchnęła śmiechem. Często wzywają teraz to matkę, to ojca do szkoły. Ale ktoby to miał czas na każde wezwanie stawić się? Wiadomo, ojciec we fabryce, matka ma dosyć roboty w domu, a zresztą, na co to się zda. Była coś raz, czy dwa, chłopak dostał lanie, i co można więcej zrobić?

Przekładała pani kierowniczka, że trzeba się chłopcem zająć, niby wychowywać, dawać baczenie na każdy jego krok, ale ktoby to miał czas na to? Mówiła też, że chłopiec przychodzi do szkoły bez książek, bez zeszytów, zawsze mu czegoś brakuje.

Jak się matka o tych książkach dowiedziała, to sądny dzień był w domu! Tyle pieniędzy na samym początku roku poszło na to, i gdzie się te książki podziały? Bronek się zaciął, nawet na matkę nie spojrzał, kiedy wyrzekała, a wkońcu to i płakać zaczęła.

Gdzie książki? Wiadomo, gdzie. Dawno je sprzedał na Świętokrzyskiej, poco mu książki! I tak mu ciągle zmniejszali stopnie, bo po dawnemu albo zeszytu, albo cyrkla, albo ekierki, czy tej gumy nie miał. Kiedy się wykryło, że całej reszty nie oddawał, jak go po co posłali, a matka to jak na złodzieja od tej chwili zaczęła na niego patrzyć, i już każdego grosza skąpiła, a wciąż wypominała, więc Bronek zaczął te książki sprzedawać. A potem grał w „guziki" z chłopakami.

Obrzydła mu i szkoła, obrzydł mu i dom, gdzie go ciągle o coś podejrzewają.

I tak dokonywała się w duszy Bronka zmiana, ta zmiana najgorsza. *Chłopcu już jest wszystko jedno.* I jeżeli chciałby mieć teraz czasem trochę pieniędzy, to nie na potrzeby szkolne, ale na papierosy, a przedewszystkiem na łyżwy, albo na footbolówkę. Czasem, kiedy waguruje, idzie na Dynasy i tam patrzy, jak się ślizgają. Dałby nie wiedzieć co za to, aby móc się ślizgać. Ale gdzie tam! W szkole od dwu tygodni już się nawet nie gimnastykuje, bo nie ma pantofli gimnastycznych. Pojutrze właśnie ma być po raz pierwszy lekcja gry w siatkówkę i pan zapowiadał, że każdy musi je mieć.

Bronek już o niczem nie myśli, tylko skądby te pantofle wydostać? Książki posprzedawał już wszystkie, do matki niema co chodzić, bo nie da pieniędzy. Bronek nawet spać nie może. Tysiące pomysłów, tysiące zamiarów. Szalone pragnienie uczestniczenia w wymarzonej grze przepełnia mu duszę. Chwilami jest wprost nieprzytomny. Tak przechodzą dwa dni. Już jutro, już jutro trzeba choćby z pod ziemi wydostać te nieszczęsne pantofle! I oto w pewnej chwili Bronek postanawia, że choćby miał ukraść, to grać w siatkówkę będzie. Coś mu się raptem przypomina. Oto na dole, w tym samym domu, gdzie mieszkają, jest sklep, w którym „wszystkiego dostanie". Nici, igły, różna galanterja, i właśnie pantofle. Bronek zna sklepikarkę, bo parę razy go prosiła, aby jej pomógł liczyć wieczorem pieniądze z całodziennego obrotu, bo niedowidzi. Pójdzie więc tam dzisiaj.

Nie ma żadnego określonego planu, jak te wymarzone pantofle dostanie; przychodzi mu na myśl, aby poprosić Wróblewską, może mu je da na kredyt, może jakoś wyrozumie...

Nadchodzi wieczór, Bronek zbiega do sklepu. Jeszcze parę minut do zamknięcia. Co chwila ktoś wchodzi, wychodzi, wreszcie został sam z właścicielką. Kropelki potu występują mu na czoło, zaczyna mówić, nie wie od czego zacząć, wkońcu jednym tchem wyrzuca z siebie prośbę.

Stara ani słuchać chce; a bo to jej też kto da? Co to on sobie myśli, że dziś sklep to dobry „jenteres"? A tu czynsz płać, a podatki płać, a to, a dziesiąte, a wreszcie mało ją to ludzi zarwało? Tak gadając, krząta się po sklepie, to znika za firanką, i znów wychodzi, a Bronek już nic nie słyszy i niczego nie rozumie. Widzi tylko pantofle ustawione rzędem na półce obok merli krawieckiej. Same ręce wyciągają się w tym kierunku po pierwszą parę z brzegu, chowa ją za bluzkę i powoli wychodzi ze sklepu. A potem? Jak się to stało?

Ktoś wchodzi, ktoś coś mówi. Stara podnosi alarm. Rzucają się w pogoń za Bronkiem.

Ciszę odludnej ulicy przerywa okrzyk:

„Trzymaj złodzieja, policja!"



K. MUSZAŁÓWNA

MIĘDZYNARODOWE ZAWODY NARCIARSKIE
W ZAKOPANEM.

Międzynarodowe zawody narciarskie, odbyte w Zakopanem w czasie 5—10 lutego b. r., należały do najpiękniejszych tego rodzaju imprez, jakie kiedykolwiek miały miejsce na terenie międzynarodowym.

W zawodach tych Polska odniosła triumf podwójny: organizacyjny i sportowy. Zawody zorganizowane były doskonale i wywołały olbrzymie zainteresowanie wśród mieszkańców i licznie przybyłych do Zakopanego gości. Każdej z rozgrywanych konkurencyj przyglądało się parę tysięcy widzów, skoki zaś zgromadziły rekordową cyfrę — 6.000 publiczności.

Dwukrotnie zaszczycił zawody swą obecnością Pan Prezydent, z zainteresowaniem śledząc bieg zjazdowy na Hali Gąsienicowej oraz bieg na 18 klm., siedząc w trybunie honorowej na mecie na Wilczniku.

Zawody narciarskie zrobiły Zakopanemu, jako stacji klimatycznej, olbrzymią propagandę. Przybyli na zawody reprezentanci kilkunastu państw europejskich zgodnie podnosili oryginalne piękno naszych gór, śliczne położenie Zakopanego, doskonałe warunki klimatyczne, oraz świetne tereny narciarskie i wycieczkowe.

* * *

Program zawodów zakopiańskich przewidywał następujące konkurencje: bieg na 50 klm., bieg na 18 klm., bieg zjazdowy, kombinację (bieg na 18 klm. i skoki), bieg pań, patroli wojskowych oraz konkurs skoków.

W biegach męskich za wyjątkiem zjazdowego, oraz w skokach, walczyły ze sobą dwie wielkie armje. Jedną stanowiły państwa skandynawskie, reprezentowane przez zawodników szwedzkich, norweskich i fińskich. W obozie przeciwnym znaleźli się przedstawiciele państw środkowej Europy, skoalizowani od szeregu lat przeciwko hegemonji narciarstwa skandynawskiego.

Skandynawowie, których poziom w narciarstwie światowym jest dotąd zgoła niedoścignionym dla innych krajów — mieli do załatwienia porachunki między sobą. Zgoła bezpieczni w stosunku do niegroźnych dla ich klasy zawodników środkowo-europejskich, skandynawowie walczyli głównie między sobą, walczyli zaciekle i ambitnie.

W biegach na 50 i 18 klm. ogromną niespodziankę sprawili Finnowie. Wbrew ogólnym przewidywaniom, forytującym na pierwsze miejsce Norwegów lub Szwedów, zatriumfowali zawodnicy fińscy, zaj-

mując w pięćdziesiątce pierwsze, drugie i czwarte miejsca (Knutille, Saarinen i Zikkanen). Na trzeciem, piątem i szóstem miejscu uplasowali się Szwedzi: Hanson Ole, Jonsson i Bergstrom. Norwegowie zajęli zaledwie 7, 9 i 12 miejsce.

Najlepszym zawodnikiem środkowo-europejskim na tym dystansie okazał się Czech Donth, zajmując 8 miejsce. Najlepszymi z naszych zawodników byli Zdzisław Motyka i Krzeptowski Andrzej II, klasyfikując się na 13 i 14 miejscach.

W biegu na 18 klm. Finowie powtórzyli swój wielki sukces, zdobyty na 50 klm. Zajęli dwa pierwsze miejsca (Saarinen i Knutilla), bijąc Szwedów, którzy uplasowali się na 3 i 4 miejscach (Bergstrom i Harison), oraz Norwegów — Haakonsen na 5 miejscu. Najlepszym zawodnikiem środkowo-europejskim był Niemiec Krebs — na 9 miejscu w klasyfikacji ogólnej. Najlepszy z Polaków, Zdzisław Motyka, zajął zaszczytne 13 miejsce.

W biegu na 18 klm. do kombinacji pierwsze miejsce zajął znowu Finn Järvinen. Na czwartem miejscu uplasował się Bronisław Czech, bijąc wielu Skandynawów i wszystkich zawodników środkowej Europy. Skoki narciarskie, które łącznie z biegiem 18 klm. stanowić miały o wynikach zawodników w kombinacji, nie wpłynęły na zmianę doskonałej pozycji, zdobytej przez Czecha. Utrzymał się on na honorowem czwartem miejscu, tak za wielkimi Norwegami — Vinjarengen i Stenen oraz Finnem Järvinen. Tym sposobem Bronek Czech okazał się najlepszym zawodnikiem środkowo-europejskim w kombinacji, najzupełniej dorównywującym wysokiej klasie Skandynawów, których kilkunastu zostawił na pobitem polu.

W biegu zjazdowym, polegającym na karkołomnej jeździe po ostrej pochyłości i wymagającym doskonałej techniki i zdecydowanej brawury, Polska sportowa osiągnęła niebywały sukces. Bronisław Czech zdobył pierwsze miejsce, bijąc na głowę najlepszych w tej konkurencji mistrzów świata, Anglików i Szwajcarów.

Również triumfalne pierwsze miejsce zdobyła dla Polski młodziutka góralka, Staszel-Polankowa, w biegu pań na 6 klm. W biegu tym startowała nienotowana na żadnych zawodach międzynarodowych cyfra 23 zawodniczek, reprezentujących Polskę, Czechy i Szwajcarję. Był to więc bieg niezwykle licznej i silnej konkurencji. Na drugiem miejscu sklasyfikowała się doskonała Czeszka, Havlova. Na miejscach następnych aż do dziesiątego uplasowały się Polki, spychając na dalsze — zawodniczki zagranicy.

W biegu patroli wojskowych startowały zespoły Finlandji, Polski, Francji, Czech, Rumunji i Jugosławji. Bezkonkurencyjnymi okazali się w tej konkurencji Finnowie, zdobywając łatwo pierwsze miejsce.. Zdobycie drugiego miejsca przez patrol polski uważać możemy za zdecydowany sukces, tembardziej, że na pobitem polu znalazł się silny zespół czeski.

W otwartym konkursie skoków narciarskich, odbytym na Krokwi w ostatnim dniu zawodów, skoczkowie norwescy okazali się bezkonkurencyjnymi, zarówno pod względem stylu, jak długości skoków. Odnieśli oni triumf zbiorowy i miażdżący zawodników innych państw. Zajęli pierwsze trzy z Ruudem na czele, oraz 5, 6 i 7 miejsca. Na 4 miejsce puścili Niemca Kratzera, któremu przypadł w udziale tytuł najlepszego skoczka środkowej Europy. Na 8 miejscu sklasyfikował się Finn Nuotio, na 9-em znowu Niemiec Rechnagel, na 10-em Bronisław Czech.

Wynik Czecha musimy uznać za niezwykle zaszczytny dla nas i dla całej Europy środkowej, która odtąd liczyć go będzie do swych czołowych reprezentantów.

W konkursie brało udział 57 zawodników, reprezentujących 14 państw. Z Polaków prócz Czecha — Cukier zajął 17, Mietelski 23 miejsce. Inni klasyfikowali się dalej.



Życie na wielkim statku Transatlantyckim.

Po niedzielnem nabożeństwie, a w dni powszednie od samego rana, kto żyw rzucał się z dziką pasją do sportów i gier, żeby jakoś przeciwważyć monotonję długiej podróży, i, last, but not least, nie tyć. Zaczynało się to zwykle od półgodziny ćwiczeń w „gimnasio" i od elektrycznego konia (Jasio). Potem szło się na plac tenisowy. Tak zwany deck tennis różni się cokolwiek od zwykłego tenisa lądowego, tem mianowicie, że gra się nie piłkami i rakietą, ale małem kółkiem, uplecionem z mocnego sznurka. Obliczenia są takie same, jak w tenisie. Kto się jednak rozumie na subtelnościach białego sportu, ten łatwo pojmie, jakie i tutaj są „smatche", jak się zabija przeciwnika upartem i złośliwem plasowaniem, zmuszającem do szalonej bieganiny w blaskach podzwrotnikowego słońca, jak wreszcie wiele zależy od samego rzucenia kółka, nisko, tuż nad siatką i tak ostro, że przeciwnik rani sobie palce, a złapać kółka i szybko odrzucić nie może.

Inną bardzo lubianą grą jest „deck quoits", gra, w której, nie mogę tego przed państwem ukryć mimo wrodzonej skromności, celowałem. Polega ona na tem, że z dwóch końców pokładu dwóch przeciwników rzuca po kolei cztery kółka po ziemi do celu, starając się uplasować swoje kółko jaknajbliżej, a odepchnąć jednocześnie jaknajdalej kółko przeciwnika. Ta gra wymagała dosyć dużo siły przy dużej stosunkowo odległości, ćwiczyli się też w niej wszyscy z zapałem, tembardziej, że uformowany wkrótce po wypłynięciu na pełne morze komitet zabaw, ogłosił we wszystkich tych grach konkursy. Zapisywaliśmy się więc wszyscy na nieskończenie długich kartkach, wywieszonych w sekretarjacie, do turniejów brydżowych, tenisowych, deck quoits i rozmaitych innych gier. Nie tu wszakże był koniec zabaw.

Wszystkie wieczory poświęcone były jakimś wspólnym rozrywkom, trzy razy wtygodniu były tańce przy doskonałej orkiestrze, wtedy właśnie poraz pierwszy oglądałam tańczonego przez brazylijskie panienki charlestona. Ale oprócz tańców inne jeszcze oglądaliśmy rzeczy: minjaturowe wyścigi na pokładzie wyciętemi z drzewa końmi, przeszkodami, wypisanemi kredą na również kredą oznaczonym torze — z totalizatorem, gdzie dość poważne sumy można było i przegrać, i, chociaż rzadziej, wygrać. Dwa dni zakończenia turniejów poświęcone były wogóle zabawom i to naprawdę śmiesznym, przy których dorośli i starzy ludzie bawili się, jak dzieci. Były tu więc najpierw najrozmaitsze rodzaje wyścigów, w których brały udział już nie powycinane z drzewa lalki, ale my wszyscy, roześmiani pasażerowie. Wyścigi polegające na tem, że trzeba było biegnąc podnosić z ziemi łyżką cztery szklane kulki, każdą oddzielnie, i składając podnosić z ziemi łyżką cztery szklane kulki, każdą oddzielnie, i składać je na talerzu, albo wyścigi tak zwane „needle and cigarette race", z góry zaznaczam, że bardzo trudne. Polegały one na tem, że panie siedziały na krzesełkach z igłą w ręce, a panowie przybiegali do nich z nitką i z papierosem niezapalonym. Przez ten czas, kiedy panowie nawlekali igłę, panie musiały zapalić im papierosa: było to niesłychanie skomplikowane. Były też wyścigi, przy których trzeba było otworzyć jedną ręką parasolkę i zjeść ciastko, zawieszone na nitce, nie dotykając go rękoma, albo wyścigi z zawiązanemi oczami między butelkami, których nie należało przewrócić. Były też konkursy specjalnie dla panów, gdyż wrodzona anglosasom rycerskość nie pozwalała narażać damy na sytuacje, w których byłyby tak całkowicie wyśmiane. Polegały one na tem, że dwóch gentlemanów w kąpielowych kostjumach siadało okrakiem na belce nad basenem z wodą i okładało się wzajemnie workami z piaskiem, póty, póki jeden z walczących nie spadł w wodę.

Wszakże koroną wszystkich zabaw był chrzest równikowy, którym znowu poddano wszystkich panów, pierwszy raz przebywających równik — znowu oszczędzając panie. Co przezorniejsi chodzili w tym celu już od rana w kąpielowych kostjumach, przewidując, co ich czeka, byli wszakże i tacy, którzy, nie żartem strwożeni, ukrywali się po kątach, licząc, że może ich nie zauważą. Nie na wiele się to wszakże przydało: morska policja, marynarze, przystrojeni w fantazyjne czapy z godłem ryby nad daszkiem, szperali po wszelkich kryjówkach, wyciągając opornych za rękawy. Potem wleczono ich ku ogólnej złośliwej uciesze do wysokiego stołka, gdzie nad tym samym basenem, wymalowany na murzyna gentleman golił ich drewnianą brzytwą, obficie namydliwszy znękane oblicze, doktór z trupią czaszką i skrzyżowanemi piszczelami na kapturze mierzył puls, a kat spychał do wody, nie dbając na krzyki i piękne marynarkowe ubranie ofiary, gdzie pływający marynarze w świńskich maskach na twarzach wciągali pod wodę, nie żałując mimowolnych nurków.

d. c. n.

ST. SIEDLECKI

ZE SPRAW MIESZKANIOWYCH.

Inżynier ze spółdzielni obszernie opowiadał mi, jak się buduje w innych krajach.

We Francji parlament uchwalił bardzo korzystną ustawę dla ludzi niezamożnych, która nazywa się prawem Luszera (Loucher'a) — od nazwiska autora ustawy.

Nakazuje ona budowanie w ciągu 5 lat — 260.000 mieszkań dwóch rodzajów.

Mianowicie 60.000 mieszkań o umiarkowanem komornem, i 200.000 mieszkań o niskiem komornem.

Nie powiedziano, jakiej wielkości mają być te mieszkania, powiedziano jednak, jaki będzie koszt ogólny takiego mieszkania. Mianowicie mieszkanie o umiarkowanem komornem ma kosztować 70.000 fr. francuskich, zaś tanie mieszkanie — 35.000 fr.

Za 70.000 fr. można wybudować dwa większe, lub trzy malutkie pokoiki z kuchnią. Za 35.000 fr. wybuduje się pokój z kuchnią.

Ważną jest sprawa, skąd są wzięte pieniądze na to budowanie, i jak wysokie płaci się procenty?

Otóż kapitałów na ten cel dostarczać mają instytucje ubezpieczeniowe. Co zaś do procentów, to dlatego, by były mniejsze, podobnie, jak w naszej polskiej ustawie z 1925 r., dopłaca się do tych procentów z pieniędzy podatkowycsh, w celu ich obniżenia.

Wypada więc, gdy ktoś sobie buduje mieszkanie z „umiarkowanem komornem" (za 70.000 fr.) tak:

1) daje 20% kapitału z własnej kieszeni,

2) do oprocentowania 40% kapitału dopłaca państwo tak, by nie przekraczał 4%,

3) do oprocentowania reszty 40% kapitału dopłaca gmina, w której się ktoś buduje tak, by procent od tej sumy nie przekraczał 2%.

Kiedy ktoś buduje mieszkanie tanie (35.000 fr.) wypada tak, że:

1) 10% kapitału musi dać budujący,

2) do 50% kapitału dopłaca państwo, by oprocentowanie nie przekraczało 2%,

3) do 40% dopłaca gmina też obniżając oprocentowanie do 2%.

Kapitał oczywiście jest pożyczony na długi termin — w ten sposób amortyzacja kapitału i oprocentowanie razem wzięte nie powinny przekraczać 4%, zaś od tych droższych i większych mieszkań — 5%.

Jakiem sobie policzył osobno na papierku, to mi wypadło bardzo niskie komorne od tych francuskich domów. Bo jeśli nawet liczyć, że od własnego wkładu też się procent wraz z amortyzacją płaci, to droższe mieszkania wypadną po jakieś 65—70 naszych złotych miesięcznie, zaś tanie (ów pokój z kuchnią), to tylko 30 zł.

Dobre mi się wydało to prawo Luszera, bo dużo mieszkań każe budować, a nie drogo za nie płacić.

W maleńkiej Austrji, a właściwie w jej stolicy Wiedniu — powiada inżynier — jest jeszcze lepiej. Tam magistrat opodatkował stare domy, wszystkich bogaczy, wszystkie luksusowe lokale, place niezabudowane i t. d. i za to już wybudował 20.000 mieszkań, a za kilka lat nowe 20.000 wybuduje.

Tu komorne jest jeszcze mniejsze, bo Wiedeń wcale nie liczy od tych kapitałów oprocentowania, a komorne bierze tylko dla opłaty świadczeń i konserwacji domów.

— A powiedźcie — pytam dalej — czy jakby takie wiedeńskie prawo u nas w Polsce było uchwalone, to bogacze chybaby sobie z tych kapitałów na wille i pałace pieniędzy nie pożyczali?

Zatroskał się tedy tamten i westchnął ciężko.

— Bogaci — powiada — strasznie wszelkie darmochy lubią. Taki gotów na koniec świata jechać i wielkie pieniądze za drogę płacić, byle się tam dostać, gdzie coś darmo dają. To też u nas w Polsce, gdybyśmy budowali na sposób wiedeński, boję się, że nie moglibyśmy kapitałów budowlanych przed bogaczami obronić.

— A jakżeby to zrobić, by oni tych pieniędzy nie dostali?

— Ja myślę — mówi inżynier — że dla nas najlepszą byłaby ustawa podobna do prawa Luszera. Ma ona po pierwsze tę wartość, że wyraźnie określa, wiele mieszkań ma być wybudowane. Nie spotka jej tedy smutny los naszej dwudziestomiljardowej ustawy markowej, która spełzła na niczem, bo marki się zdewaluowały. Po drugie określa wyraźnie, jaki ma być ogólny koszt mieszkania. W ten sposób znowu ludzie zamożni mają uniemożliwione korzystanie z tych funduszów dla wznoszenia swych kosztownych mieszkań.

— Jeszcze jedno pytanie — mówię, bo już otucha wstąpiła we mnie — kiedy może być takie prawo jak Luszera, u nas uchwalone przez Sejm?

— Nie wiem, kochani, bo jeszcze ta sprawa nie jest w łonie Rządu zdecydowana, a cóż dopiero w Sejmie.

— To źle — powiadam — bo tymczasem nam się za kołnierz leje.

— A leje się.

— No więc chodzi o to, żeby takiego Luszera u nas znaleźć i niech on ustawę szykuje!

WANDA GRABIŃSKA

PRAWO I ŻYCIE.

Przykłady te to nie dowolne bajeczki, ale obrazki prawdziwe z codziennego życia Warszawy. Każdy z nas spotyka się w życiu z takiemi smutnemi zdarzeniami i przytaczać możnaby ich tysiące. I mimowoli nasuwa się wtedy pytanie, jak przedstawia się *prawna strona* tego zagadnienia. Czy i gdzie istnieją przepisy normujące *obowiązki rodziców względem dzieci?* Postaram się na to odpowiedzieć.

Przepisy te zawarte są również w Kodeksie cywilnym Królestwa Polskiego, obowiązującym w b. zaborze rosyjskim. Podstawowy artykuł 237 głosi, iż *małżonkowie przez sam fakt zawarcia małżeństwa biorą na siebie wspólny obowiązek żywienia, utrzymywania i wychowywania dzieci swoich.* Obowiązek ten spada również na *ojczyma*, lub *macochę* dziecka, którzy z samego prawa stają się jego opiekunami. Jednakże dziecko, żądając utrzymania od rodziców *po dojściu do pełnoletności*, musi *udowodnić*, iż jest w warunkach, które uniemożliwiają mu samodzielne zarobkowanie np.: jest chore, lub kalekie. Przepis ten ma na celu zapobieganie lenistwu dzieci, ociąganie się przed samodzielnem zarobkowaniem i liczeniu ciągle na pomoc rodzinnego domu. Dzieci winny być utrzymywane i wychowywane według *stopy życiowej rodziców*, a więc nie mogą zgłaszać rodzicom wygórowanych żądań *życia ponad ich stan*. Niestety w praktyce często to się zdarza i powoduje dramaty rodzinne. Rodzice mogą dziecko wychowywać u siebie w domu lub też płacić za jego utrzymanie pewną kwotę pieniężną (alimenta), która może być zmniejszana lub powiększana zależnie od ich stanu materjalnego.

Ze swej strony *dziecko w każdym wieku winno cześć i uszanowanie ojcu swemu i matce* i pozostaje pod ich władzą aż do pełnoletności, t. j. lat 21. Nie może ono bez zezwolenia rodziców opuszczać ich domu i rodzice mają w każdej chwili prawo poszukiwać dziecko za pomocą władzy państwowej. Również przy wejściu w związki małżeńskie wymagane jest do pełnoletności zezwolenie rodziców. Rodzice mając *słuszne* powody do niezadowolenia z postępowania dziecka, mogą je karcić, ale w sposób nieszkodliwy dla jego zdrowia i rozwoju umysłowego. Rodzicom jednak *nie wolno nadużywać* tego prawa. To też *w razie dowiedzionego okrutnego obchodzenia się i znęcania nad dzieckiem przez rodziców — władza rodzicielska może być im odebrana* i powierzona komu innemu na koszt tego z rodziców, które dokonało nadużycia. Pieczę nad wykonaniem tego przepisu sprawuje *prokurator*, do niego też w tych sprawach zwracać się należy.

W czasie trwania małżeństwa ojciec jest rządcą majątku osobistego swych dzieci i ma prawo go używać. Jednak z tego użytkowania *wyłączony jest majątek nabyty przez oddzielną pracę i przemysł dziecka*, tudzież majątek zapisany dziecku w testamencie pod warunkiem, żeby rodzice z niego nie korzystali. Również *ojciec* obowiązany jest do zastępowania dziecka we wszystkich czynnościach cywilnych i *odpowiada cywilnie za wszelki czyn dziecka, zrządzający komukolwiek szkodę.* To też jeżeli ktoś zostanie poszkodowany przez dziecko, a wina dziecka będzie dowiedziona, może wytoczyć *powództwo cywilne* przeciwko jego rodzicom, wnosząc je do tego sądu, w którego okręgu mieszkają pozwani rodzice.

Tyle mówi prawo, chroniąc zasady moralności i religji, które przedewszystkiem winny być tym fundamentem, na którem buduje się życie rodzinne. Jakie skutki wypływają, jeśli się tych zasad nie stosuje, o tem pomówię jeszcze w oddzielnym artykule.

KINO-KRONIKA.

Ekran nietylko jest opowieścią, nietylko sensacją, nietylko bajką i poematem o rzeczach nierealnych, ale może także być satyrą, czy to literacką, czy polityczną. I tak weszły teraz w modę filmy, parodjujące inne filmy. Perypetje, awantury i skoki z pieca na łeb Douglasa Fairbanksa wspaniale i dowcipnie przedrzeźniali Rod La Rocque w *Czerwonym Piracie*, mającym być repliką na *Czarnego Pirata*. Bebe Daniels w *Córce Zorry*, która miała być persyflażem *Syna Zorry*, i Mac Lean, który zabawnie naśladował Douglasa ze *Złodzieja z Bagdadu*, w swoim *Arcyzłodzieju z Damaszku* i wiele, wiele innych było filmów-parodyj. Poza parodją jednak, jest jeszcze satyra na takie lub owakie urządzenia, typy, zwyczaje i zabobony. Gennaro Rhighelli w świetnym swoim obrazie *Prezydent*, wykpiwa drogi, jakiemi nieraz karjera ludzka, sława i znaczenie kroczą. Dla nas, Polaków, którzyśmy widzieli przed przewrotem majowym, jacy ludzie częstokroć dostawali się na wysokie stanowiska, ludzie bez żadnych zasług społecznych i patrjotycznych, zera, żerujące tylko na „szczęśliwej planecie" i na bierności współobywateli — dla nas jest film ten podwójnie ciekawy. Iwan Możuchin postawił niebywale swój typ kondotiera. Wałkoni się całe życie. Nieroba, wygrzewająca swoje lenistwo na słońcu, ma jedną tylko pasję: lubi gadać. Dużo, nieprzerwanie, bez sensu, bez logiki i potrzeby, ale gadać — gadać — gadać — Tak się złożyło, że dostał się on przypadkiem na bankiet przedwyborczy, na którym rozgrywały się losy przyszłego Prezydenta Republiki Costa Nuowa. Możuchin zaczyna mówić i mówi tyle i tak bez sensu, że wywołuje ogólny zachwyt i od nitki do kłębka — zostaje obrany prezydentem. Świetnie jest tu przeprowadzona owa satyra na głupotę ludzką, na łatwość zakłamania mas niezupełnie uświadomionych. Ale — zachodzi pewna różnica między tem co się u nas działo, na starym kontynencie Europy, a tem, co się dzieje w Ameryce. Możuchin, doszedłszy fantastyczną drogą do zaszczytów i władzy, nie wyzyskuje tego stanowiska dla celów osobistych, nie robi majątku, nie zbija pieniędzy nieuczciwymi sposobami, nie zaczyna mu się przewracać w głowie — nie! Zdrowym, chłopskim rozumem rozsądza sprawy, jest pracowity, obowiązkowy, swoich wieśniaków, „somsiadów" dawnych, przyjmuje dobrodusznie, radośnie, nie pozwala lokajom ich anonsować, bo wita ich jak braci, jest sprawiedliwy, słowem co może ze siebie dać, to daje społeczeństwu i krajowi bez ociągania i bez lenistwa. Tegoby nie można powiedzieć o wielu naszych rodzimych wielkościach, które tak samo jak Możuchin, były niczem, ani dla społeczeństwa, ani dla Ojczyzny, które tak samo jak on, będąc półanalfabetami, chadzającymi w obdartych pluderkach, bez kołnierzyka, próżnowały, ślepemu losowi zawdzięczając nagłą karjerę — ale podczas gdy Możuchin, jak rzekłam, nie wyzyskuje swego stanowiska dla własnej kieszeni — niejeden z naszych dorobił się wielkiej fortuny, nieodpłaciwszy się krajowi wzajem żadną pracą owocną, żadnym wysiłkiem. I tu leży różnica i tu też leży nauka i sens moralny filmu. Można się pracą i nauką dobić wielkich stanowisk, można dostać się na nie drogą przypadku, ale trzeba być uczciwym i pamiętać, że im więcej zaszczytów daje nam Ojczyzna, tem większe mamy wobec Niej zobowiązania. Smagając biczem ironji, to właśnie chce nam film Righellego powiedzieć i dlatego jest niezwykle interesujący od początku do końca. I Iwan Możuchin jest tu niesłychanie „wypracowany" w każdy szczególe. Źle mu sekunduje Suzy Vernon, jedna z najnudniejszych artystek, o owczej, nie-



mądrej twarzy. Właściwie gra przez ciąg 12 aktów tylko Możuchin i jego wspaniały czarny wilk, wszystko inne to tylko statyści na dalekim horyzoncie. Ale że ci statyści nie przeszkadzają, to nazwać możemy śmiało *Prezydenta* jednym z lepszych obrazów, wyświetlanych ostatnio w Warszawie.

M. J. Wielopolska.

ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

Wciąż jeszcze żyjemy pod znakiem mrozu i braku węgla. „Kurjer Poranny“ zainicjował akcję pomocy dla najbiedniejszej ludności, ofiarowując pierwszy wagon węgla. Następnie na skutek gorących odezw, umieszczonych w Kurjerze, zaczęły napływać hojne ofiary od społeczeństwa na węgiel i odzież.

Celem jak najszybszego i najsprawiedliwszego rozdziału węgla i odzieży został uformowany przy Kurjerze „Komitet Doraźnej Pomocy“.

Pierwsza partja węgla, w ilości do 15 wagonów, została rozdzielona za pośrednictwem Opiek Szkolnych, oraz Stacyj Opieki Społecznej Magistratu m. st. Warszawy.

Nauczyciele szkół powszechnych, wespół z przedstawicielami Opiek Szkolnych, wydali dzieciom rodziców najbardziej potrzebujących, zaświadczenia, na zasadzie których, w Kurjerze otrzymywano bony na 50 kg. węgla.

Pragnąc ułatwić odbiór węgla i zaoszczędzić rodzicom wystawanie i czekanie na mrozie, Komitet organizuje kilkanaście punktów rozdzielczych na mieście, przeważnie na podwórkach szkolnych.

W pierwszym okresie wydano za pośrednictwem Opiek Szkolnych do 4.000 bonów po 50 klg. czyli na 200.000 klg. Ponadto Komitet wydał po 1—2 tonn do zakładów organizacji społecznych, które znalazły się w bardzo ciężkiem położeniu, a więc: Kropli Mleka, Internatu w koszarach Blocha etc.

Ofiary z odzieży zostały skierowane do baraków dla bezdomnych przy ulicy Okopowej i Stalowej, gdzie była największa nędza.

Dalsza działalność Komitetu zależy od ofiarności społeczeństwa, ale już dziś stwierdzić można, że ofiarność nie ustaje, i można mieć nadzieję, że coraz to napływające składki dadzą możność i nadal prowadzić intensywną akcję w kierunku ulżenia niedoli najnieszczęśliwszych.

Na czele całej akcji, prowadzonej za pośrednictwem Opiek Szkolnych, z ramienia Komitetu Doraźnej Pomocy przy Kurjerze Porannym, stoi posłanka Zofja Praussowa.

List do Redakcji w sprawie węgla.

Znalazłam się w wielkim kłopocie, gdyż Komitet Doraźnej Pomocy, powstały z inicjatywy „Kurjera Porannego“ w celu niesienia pomocy zmarzniętej ludności, przydzielił 150.000 kg. węgla do rozdania rodzinom najbiedniejszych dzieci, uczęszczających do szkół powszechnych. Zdawało mi się zrazu, że 150.000 kg. jest sumą bardzo pokaźną, i oczywiście jestem niezmiernie wdzięczną Komitetowi Doraźnej Pomocy za tak wydatną pomoc.

Tymczasem, gdy zaczęłam to dzielić, to okazało się, że jeżeli mam dać na rodzinę 50 kg. węgla, wypada 3.000 porcji po 50 kg. Ponieważ zaś dzieci w szkołach powszechnych jest 76.000, a w przedszkolach 6.000, a więc razem dzieci 82.000, to mając 3.000 porcji, mogę dać na 22 rodziny jedną porcję.

Co robić z resztą zmarzniętych rodzin?

Proszę przeto Redakcję o wezwanie swych czytelników do zbierania chociażby drobnych składek na węgiel dla tych najbiedniejszych.

Komitet Doraźnej Pomocy z otrzymanych w Kurjerze Porannym składek zakupuje węgiel i przysyła dalsze bony do rozdziału.

Niech tylko składki dalej wpływają, i jak najwięcej — to zaraz dostaniemy węgiel do dalszego podziału!

Z. Praussowa,

Przewodnicząca Komisji Opiek Szkolnych.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. PRZEKŁADANKA.

Poprzestawiać litery w rzędach poziomych i odczytać według podanych znaczeń 11 wyrazów. Wówczas litery w kratkach oznaczonych dadzą rozwiązanie.

A	A	A	A	A	A
A	A	A	A	A	A
A	D	E	E	G	I
I	I	I	K	K	K
K	L	L	L	L	L
L	L	M	M	M	M
N	N	N	N	O	O
O	O	O	O	O	O
O	P	P	R	R	R
R	R	S	S	S	T
T	T	T	W	W	W

Znaczenie wyrazów:

1. Jedwabna tkanina.
2. Napój alkoholowy.
3. Duchowny.
4. Część aparatu fotograf.
5. Watowana odzież kobieca.
6. Zazdrosny mąż.
7. Kaftan węgierski.
8. Fortuna, pieniądze.
9. Ptak drapieżny.
10. Miljonowa część metra.
11. Tkanina z sierści kóz angorskich.

Nr. 2. KWADRAT MAGICZNY.

W podanym kwadracie poprzestawiać litery tak, aby powstało pięć wyrazów, czytanych jednakowo poziomo i pionowo.

A	A	A	A	A
A	B	I	I	K
K	N	N	O	O
O	O	P	R	R
R	R	W	W	Z

Znaczenie wyrazów:

1. Biblja u mahometan.
2. Lęk.
3. Długa, wąska szpada.
4. Statek pośpieszny.
5. W dawnej Polsce zobowiązanie dla grodu, do którego dany osobnik należał.

Rozwiązanie zadań z Nr. 1.

Nr. 1. Rebusik: Napoleon
Nr. 2. Rebus: Garbarnia

Za trafne rozwiązanie obu zagadek nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem „Rozrywki umysłowe“ przeznacza Redakcja w drodze losowania szereg książek.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji 163-32. Tel. administracji 517-35.
Redakcja otwarta codziennie od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne. Wilcza 60. Tel. 293-47.